MYŚLIWY

MIESIĘCZNIK

ROK II POZNAŃ, MAJ 1938 NR 4

ODSTRZAŁ DLA MYŚLIWYCH ZAGRANICZNYCH

W ostatnich czasach na łamach prasy łowieckiej oraz codziennej ukazywały się liczne artykuły, traktujące o sprawie polowań dla myśliwych zagranicznych. Te głosy poważnych naszych pisarzy łowieckich, bardzo rzeczowe i wykazujące dużą znajomość omawianego zagadnienia — wydają się jednak być zbyt entuzjastyczne i zbyt różowo patrzące na sprawę, bez dostrzegania innych stron, stron ujemnych, a nawet wręcz niebezpiecznych dla krajowego łowiectwa.

Nie jestem zgorzkniałym pesymistą ani starym zrzędą, szukającym dziury w całym. Wobec tego jednak, że sprawą polowań dla myśliwych zagranicznych zainteresowały się już i nasze władze państwowe, a więc dotychczasowe projekty mogą stać się rzeczywistością — uważam za stosowne zabrać także głos w tej sprawie, ale już bez gorączki myśliwskiej, na trzeźwo, mówiąc przede wszystkim o stronach ujemnych takiej zakrojonej na wielką skalę imprezy, o której myśli się poważnie po triumfie w Berlinie.

Na wstępie pragnę się zastrzec, że nie zamierzam bynajmniej zwalczać omawianej sprawy. Owszem, uznaję, że projekt jest dobry, wart zastanowienia — wymaga jednak głębokiego i wszechstronnego rozpatrzenia, wymaga rozwagi i ścisłej kalkulacji. Obiema rękami podpisuję się np. pod tym, co napisał w nrze 24 „Łowca Polskiego" z roku ubiegłego p. inż. Tadeusz Śliwiński o wywozie żywych kóz i łań, marnowanych u nas przy stosowanym masowo odstrzale redukcyjnym. Nie oburzę się też zbytnio, gdy na polowaniu w łowiskach kujawskich, mazowieckich czy wielkopolskich zabiję dziennie 20 kuropatw zamiast 100, a pozostałe 80 odstrzeliliby łowcy italscy czy francuscy. Są jednak rzeczy, na które nie mogę się zgodzić i mam przeczucie, iż posiadam wielu zwolenników, którzy mi przyklasną. O tych rzeczach zaraz wspomnę.

Zastanówmy się najpierw, skąd mogą przyjeżdżać do nas myśliwi? Nie z Rumunii, Węgier ani z Czech lub Niemiec, bo tam zwierzostany są z pewnością nie gorsze od polskich. Jeżeli więc chodzi o te państwa — to napływ turystów będzie bardzo nieliczny. Szwecja, Norwegia, Finlandia, Estonia i Łotwa też nie mogą być brane pod uwagę z podobnych przyczyn. Dolarowicze amerykańscy posiadają pod bokiem przepiękne knieje, wątpię więc — czy zechcą wyruszać na drugą półkulę. Ruszy natomiast do nas niewątpliwie rzesza spragnionych „porządniejszej" od wróbli i skowronków zwierzyny — strzelaczy włoskich i francuskich, wytrenowanych na standach i „tire au pigeon'ach". Są to świetni strzelcy, lecz żadni myśliwi, a przyjadą żądni łupów — nie wrażeń.

Co takich panów może w Polsce interesować? Ano, w pierwszym rzędzie zwierzyna „egzotyczna": łoś, niedźwiedź, wilk, ryś, żbik, bielak, głuszec, pardwa . . .

Powiedzmy sobie szczerze: ile my tej zwierzyny posiadamy? Czy takie multum, że wystarczy na obdzielenie łowców krajowych i jeszcze zagranicznych? Ilu polskich myśliwych posiada na rozkładzie niedźwiedzia, łosia, rysia? Więc, gdy całe



Fot. Antoni Wiśniewski

Mała sarenka

rzesze naszych nemrodów marzą dotąd bezskutecznie o wilku albo pardwie i nie mogą w ciągu szeregu lat zapisać ich w swym dzienniku myśliwskim — mamy sprowadzać do kraju obcych strzelaczy, by nam te resztki wyniszczali? Coś tu jest nie w porządku!

Ale to jeszcze nie wszystko. Przy układaniu cennika na odstrzał zwierzyny dla cudzoziemców brano pod uwagę wszystkie gatunki, a więc i bóbr, świstak, niedźwiedź, kozica, a także łosza, głuszyca, drop i inne „tabu“. Czyżby zatem francuski rekordzista wróblowy bił i to, co dla polskiego hodowcy i opiekuna jest zakazane? Inaczej mówiąc — poto rozmnażamy i ochraniamy dropia



Fot. Herber

Sokół przy gnieździe

lub niedźwiedzia, byśmy ujrzeli mordowania tej zwierzyny, utrzymanej dzięki naszym środkom materialnym i staraniom, gdy tylko przekroczy ona granicę sąsiada, łakomego na srebro i szeleszczące banknoty.

Zaszczyt goszczenia u siebie cudzoziemskiego hrabicza może być istotnie wielki, zwłaszcza, gdy zostanie poparty dobrze zaokrągloną sumką ponętnych monet — ale tylko dla myśliwego, który sam jest hodowcą i korzysta ze swojej pracy i wkładów. A ci z pewnością najmniej pohopnie zgodzą się na wynajęcie łowisk amatorom urządzenia hekatomby.

Polski Związek Łowiecki, bez którego aprobaty sprawa polowań myśliwych zagranicznych obejść się nie może — musi pamiętać o jednym. Z dużym wysiłkiem uzyskaliśmy wreszcie tak konieczną dla naszego łowiectwa konsolidację, przystąpienie do Związku, zjednoczenie szeregu kółek i towarzystw myśliwskich oraz pojedynczych myśliwych z różnych dzielnic kraju — w jedną wielką rodzinę. Organizacja nasza jest jeszcze młoda, luźno związana. W takim okresie pod żadnym warunkiem nie można dopuścić do wszelkich zatargów, tarć czy antagonizmów. Tymczasem te ze wszech miar niepożądane fermenty łatwo mogą wybuchnąć, gdyż niewątpliwie Małopolska zechce bronić swego żbika i niedźwiedzia, Wielkopolska dropia, łabędzia i jelenia, zaś Kresy rysia, wilka i pardwę. Należy więc postępować bardzo uważnie, ostrożnie i w ścisłym porozumieniu z przedstawicielami zainteresowanych dzielnic. Inaczej bowiem jedną samowolną uchwałą obalimy to wszystko, cośmy w ciągu roku z wysiłkiem, mozolnie sklecili. A konsolidacja łowiectwa polskiego jest dla kraju stokroć więcej warta — od paru tysięcy złotych, które mogą wpłynąć od przybyszów z zagranicy.

Moim zdaniem — możemy sprzedawać obcokrajowcom tylko odstrzał dzików, rogaczy i kóz, bardzo ograniczoną ilość jeleni-byków i nieco łań, trochę głuszców oraz drobną zwierzynę jak kuropatwy, bażanty, kaczki, miejscami cietrzewie, króliki, zające. Tego posiadamy dotąd sporo. Przy okazji, bawiącemu gościowi można zezwolić na strzał do lisa, zaproponować łowy na borsuki, zaprowadzić na ciąg słonek, lub toki cietrzewi, czy batalionów, jednak wszystko to może być tylko urozmaiceniem, a nie głównym celem polowania. Zachodzi jednak wątpliwość, czy zechce ktoś przyjeżdżać do nas, by zapolować wyłącznie na drobną zwierzynę.

Trzeba jeszcze i to mieć na uwadze, że cudzoziemiec, łożący duże koszty na podróż, nie przyjeżdża — by podziwiać, powiedzmy, krasę polskiej jesieni. Przyjeżdża — by się nastrzelać do syta i zdobyć obfite łupy, a więc należy mu przydzielić naprawdę bogate w zwierzynę łowisko, a takich niewiele będziemy mieli do dyspozycji, gdyż jak wspomniałem, wątpię, aby hodowcy godzili się na wpuszczenie wyborowych strzelców zagranicznych, w dodatku spragnionych okazji do strzału, do swych rewirów.

Znam zaledwie paru nemrodów zachodnich, ale to już wystarczy, by stwierdzić, jak wielkim zainteresowaniem za granicą cieszy się nasz wilk i ryś. Jeżelibyśmy więc ogłosili polowania na tę zwierzynę — zjechałoby się do nas sporo amatorów. A jednak łowów tych ogłaszać nie wolno, a dlaczego — zaraz wytłumaczę.



Fot. E. Kossecki

Cielna łania

Każdy myśliwy, który kiedykolwiek organizował polowanie na wilki w zimie, wie doskonale, jak trudno jest, zwłaszcza obecnie, utrzymać tę zwierzynę w miocie choćby do chwili przyjazdu łowców z Warszawy, co trwa nie dłużej niż dobę. Podkreśliłem słowo obecnie, gdyż wobec bardzo licznych a partackich obław w zimie — wilki nie obawiają się już najczęściej fladr i w nocy wychodzą. Żaden myśliwy zagraniczny nie ma o tym pojęcia, że strzał do wilka, a raczej okazja takiego strzału, nawet wówczas, gdy zwierzyna jest w miocie — stanowi zwykły uśmiech losu. Taki pan wyobraża sobie, że po przybyciu do Polski, da kilka strzałów dziennie do wilków lub rysi. Jeżeli więc ściągniemy go do siebie i wyjedzie nie widząc nawet z daleka jak jego upragniona zdobycz wygląda, a to jest i przy najlepszej organizacji łowów zawsze możliwym, będzie nas szkalował za granicą i zamiast reklamy — tylko sobie zaszkodzimy, bo inni reflektanci na polowania w Polsce — dowiedziawszy się jak sprawy stoją — z pewnością do nas nie przyjadą nawet na zające.

Jeżeli więc chcemy oferować cudzoziemcom rysie albo inne wielkie drapieżniki — musimy podkreślać zawsze ogromne ryzyko przyjeżdżającego nemroda, oraz wymagać przynajmniej tygodniowego pobytu w miejscu polowania — by uniknąć później wszelkich rozgoryczeń i zażaleń.

Trzeba się też poważnie zastanowić nad brakiem komfortu w naszych łowiskach. Obcokrajowiec zamożny, a tylko takiego możemy oczekiwać, przywykł do materacu, pierzyny, łazienki i szos. Uciążliwa podróż wózkiem po „nakacie" poleskim, nocleg na słomie w zadymionym kureniu, albo podchód głuszca po oślizgłych kładkach — z pewnością go nie zachwycą. Nie można więc tych ludzi oszukiwać barwnymi prospektami lub krzyczącą reklamą — lecz należy otwarcie przyznać się do istotnego stanu rzeczy. Kogo naprawdę pociągają łowy — ten pomimo wszystko przyjedzie. Tiropiżoniści odpadną — lecz to lepsze, niżby mieli potem nas oczerniać.

Trzeba dobrze wszystko rozważyć, obmyśleć, opracować. W czynnościach tych należałoby zasięgać opinii i Oddziałów Wojewódzkich, bez współpracy których, dla wymienionych wyżej powodów, pod żadnym pozorem nie można ostatecznie sprawy zdecydować. Referat łowiecki przy Lidze Popierania Turystyki powinien być tylko organem wykonawczym — inicjatywa i kierownictwo musi bezwzględnie spoczywać w rękach Zarządu P. Z. Ł. Takie ujęcie sprawy może dopiero zagwarantować, że akcja rozwinie się celowo i przyniesie Państwu istotną korzyść. Bo zaszkodzić sobie możemy bardzo łatwo i prędko — ale na naprawienie tych szkód potrzebne są całe lata. O tym musimy pamiętać.

Dlatego też na zakończenie powtarzam raz jeszcze: ostrożnie i powoli, Panowie! Bez gorączki myśliwskiej!

Leopold Pac-Pomarnacki

PIERWSZY KONKURS FOTOGRAFICZNY »MYŚLIWEGO«

Wydawnictwo „Myśliwego" ogłasza konkurs fotograficzny na zdjęcia z życia zwierzyny łownej żyjącej w Polsce oraz fotografie przedstawiające sceny myśliwskie. Odbitki winny być wykonane w kolorze czarnym na papierze lśniącym (kontrastowym) i nie mniejsze niż 9×12 cm. Zdjęcia muszą być oryginalne i dotychczas nie reprodukowane.

Na konkurs można nadsyłać pojedyncze zdjęcia lub grupy zdjęć. Na każdej fotografii wzgl. złączonej grupie należy umieścić tytuł fotografii oraz godło autora. W osobnej kopercie (zamkniętej), z umieszczonym na niej godłem autora, należy podać imię i nazwisko oraz adres autora.

W skład sądu konkursowego wchodzą oprócz członków zarządu wydawnictwa i redakcji pp. dr St. Celichowski, Stan. Cierniak, Saturnin Mravincsics, prof. dr Schechtel, dr inż. Szuman, Kazimierz Tomaszewski i inż. St Woszczyński.

Zdjęcia na konkurs nadsyłać należy pod adresem wydawnictwa „Myśliwy", Poznań, Sew. Mielżyńskiego 24 do dnia 15 lipca 1938 r. Ogłoszenie wyniku konkursu nastąpi w nrze 8/1938 „Myśliwego". Numer ten rozesłany zostanie wszystkim uczestnikom konkursu.

Nagrody konkursowe wynoszą:

I	nagroda	zł 75,—
II	„	„ 50,—
III	„	„ 25,— wraz z całoroczną prenumeratą „Myśliwego"
IV	„	„ 25,—
V	„	całoroczna prenumerata „Myśliwego"
VI	„	półroczna prenumerata „Myśliwego"

Zdjęcia nagrodzone stają się własnością „Myśliwego". Wydawnictwo zastrzega sobie prawo kupna nienagrodzonych fotografii celem reprodukcji w „Myśliwym".

Wydawnictwo „Myśliwego"

SŁUCHAJ!

(Z cyklu „Wiosna“)

Zamknij oczy i duszy całej mocą
Słuchaj, jak las szumi pieśń wiecznego trwania,
pomimo wszystkie burze i zimy śmierć białą,
pieśń blasków słonecznych, zachwytu,
kochania,
modlitwy życia, wielką, twórczą, śmiałą.

Słuchaj, jak skrzydła orłów pod słońcem
łopocą,
jak pragnieniem pączki kwiatów zwolna
rozchylane
dyszą wiosną.

Słyszysz koncert ptasząt szczęściem rozśpiewanych
symfonią dziękczynienia Stwórcy tam w błękitach?
mowę ziemi i jej szeptów tajemnych nieznanych?
szmer kropel rosy o blaskami roześmianych
świtach?

Słuchaj i złącz się całą duszą z tchnieniem lasu,
wiosny
a jak oczy otworzysz spojrzyj prosto w słońce,
niech twą piersią wstrząśnie okrzyk głęboki,
radosny
i płynie wraz z modlitwą aż po światów końce.

St. Woszczyński

»MYŚLIWIEC« TOMASZA BIELAWSKIEGO

Z trzech najdawniejszych naszych pisarzy myśliwskich, Mateusz Cygański pochodził z Mazowsza, Jana Ostroroga wydała ziemia czerwińska, o Tomaszu Bielawskim natomiast, jako o swojaku pamiętać powinna Polska Zachodnia. O jego życiu i osobie wiemy bardzo niewiele. Był dworzaninem „służebnikiem“, zapewne łowczym na dworze Jana Sokołowskiego w Bystrcu pod Kwidzyniem, polował nad „Notesią“, Drwęcą i Wisłą, wspomina o kniejach Człuchowa, Łabiszyna, Gniewu, Mnichowa, Waplewa i i. Panu Sokołowskiemu dedykuje swój poemat „Myśliwiec“ w r. 1595 w Krakowie, natomiast dedykacja utworu: „Procesja Wielkanocna“, poświęconego kasztelance gdańskiej E. Żalińskiej, datowana jest ze Żnina w r. 1591. Wszystkie więc skąpiutkie wiadomości, jakie wyłuskać można o autorze z jego dzieła, obracają się wokół Pomorza, puszczy Tucholskiej i Wielkopolskiej, z jednym wyjątkiem Krakowa, dokąd udał się Bielawski zapewne dla ogłoszenia drukiem swego poematu. O zachodnio-polskim pochodzeniu świadczą również właściwości językowe utworu. Zwrócił na to pierwszy uwagę profesor Aleksander Brückner w ocenie „Myśliwca“, wydanego ponownie w r. 1914 w znanym zbiorze Rostafińskiego: „O myśliwstwie, koniach i psach łowczych“. Szczegółowa analiza mogłaby przypuszczenie zmienić w pewnik. Ale i w pobieżnej lekturze zauważy czytelnik pewne typowe zachodnio-polskie cechy „Myśliwca“. Opowiada autor o „fortylach“ i „ogarzach“, które na wschodzie są z reguły „ogarami“, zakłada „połapki“ na zwierzęta w miejsce „pułapek“, pstry pies zowie się „bestrym“, jak i dziś w Wielkopolsce gdzieniegdzie. Pszeńca rośnie zamiast pszenicy, stado kaczk zrywa się z nad wody, zając śmieje się „we krzu“. Ale przede wszystkim: skop zamiast barana, który jest u Bielawskiego zarówno w konstelacji niebieskiej jak w owczarni i spiżarni. Oto cechy, po których poznać zachodniego Polaka, chociaż niektóre z wymienionych postaci językowych miały w XVI wieku prawo obywatelstwa i gdzieindziej.

Poemat Tomasza Bielawskiego powstał w tym samym czasie, w którym ks. Jakób Wujek z Wągrówca zadziwił świat polski wspaniałym spolszczeniem pisma św. Nie równać się skromnemu myśliwcowi z wielkim twórcą Wulgaty polskiej, podkreślić wszakże trzeba jego wielkie ambicje językowe i artystyczne. Te ostatnie może nawet za wielkie, wybiegają ponad stan i możliwość autora. Pisze wierszem choć nie jest poetą, używa rozlicznych form poetyckich, dobiera wyrazów, sadzi się — niezawsze szczęśliwie — na przymiotniki złożone. Ale też wynagradza braki obfitością spostrzeżeń, bogactwem rzeczowego opisu, czy szczegółów z zawodowego życia łowieckiego.

Jakże odległy, jak ubogi wobec naszego, i wprost bajeczny był świat i zakres łowów, w których uczestniczył imć Tomasz Jastrzębiec Bielawski. Sam zdaje sobie po trosze z tego sprawę, gdy pyta z dumą: „chodziłżeś do takiej szkoły, gdzie łowią żubry, bawoły?“ Żubra psem próżno straszyć, snadniej legnie jeśli go z półhacza (rodzaj muszkietu) umierzysz między rogi. Łosia, który się boi psa i człowieka, można zabić uderzeniem pięści, ale zawszeć lepiej mieć ze sobą rusznicę, bobry „suchowodne“ to zwierzyna pospolita. Podobnie rysie pieszczotne i bawoły. Z ochrony, jako zwierz rzadki, korzysta za czasów Bielawskiego jeden „wół polski“ czyli tur. Nikomu innemu jeno Królowi Jegomości wolno „brać go strzelbą“. Nie bardzo snać ten zakaz był przestrzegany, skoro wkrótce potem w r. 1627 zdechła ostatnia turzyca na wolności, późniejsze zaś tury chowały się w nielicznych zwierzyńcach.

Tradycja myśliwska, do której wprost nawiązuje Bielawski, jest też wspaniała. Powołuje się bowiem na sposoby używane w czasie łowów Stefana Batorego, który nie tak dawno jeszcze urządzał polowanie w puszczy Grodzieńskiej:

Król Batory na straży siecią trzeciomilną
Otoczywszy, zwierzynę bierał nieomylną
Tak pomału sięć onę zaraz ukracano
Zwierza siecią stuliwszy, co król kazał, brano.

Działo się tak, że nocą roztaczano w gęstwinie „mocnociągłe“ sieci, szczując do nich chartami grubego zwierza, gdzie go już łatwo było ubić z samopałów. Wspominając o sieciach i paściach zastawianych po lasach i polach, o dołach ziemnych, gdzie zwierza unieruchamiano, opowiada o zabawnej przygodzie księdza, który idąc w srogą zimę pieszo od chorego, zgubił ślad drogi wśród grubo zapadłej ponowy. („Iże nie znać przed śniegiem — wszędy równo — drogi, polem szedł po rozumie, z głową wpadł i z nogi“). Ujrzawszy się nagle w głębokim i mroźnym dole uwiązał chudzina-pleban „tyntynabuł“ (dzwonek) do laski i tak długo dzwonił, aż go dosłyszał i wydobył z paści chłop, wiodący wołu na zabicie.

Trudno wymagać od myśliwego z czasów tak odległych, aby uświadamiał sobie idealne czy sportowe pobudki łowiectwa. Raczej trzeba ujmować jego postawę wedle miary człowieka prymitywnego, który na pierwszym miejscu stawia materialną korzyść. Tak i pan Tomasz puszczając psy na dzika w ostępie, mlaska już naprzód żuchwami na myśl, jaki dobry będzie ten „wieprz“ w kwaśnym sosie, chwali sobie mięso łosie i bawole, ale wespół z pieczenią wołową („gdy wół podstolim, łoś, bawół smakuje, ząb postępuje“). A jeszcze smakowitszy głuszec „w półmisku słyszący, dobry gorący“. W ogóle piwo z wierzchem nalane, talerz ciepło nałożony — to kwintesencja i najwyższa nagroda myśliwskiego wysiłku.

Dobry sarn, zając, przy mięsie wołowym
Też przy słoninie i tłuszczu skopowym
Czegoż ci jeszcze do tego potrzeba?
Soli, korzenia, a najpierwiej chleba.

Wszelako nie łatwo o grosze, za które soli i korzeni zakupisz. Nie zawsze ich knieja przysporzy. Okazuje się, że Bielawski żył w czasach kryzysowych. Jak u nas w czasie spadku cen były chwile, gdy opłacalność strzału stawała pod znakiem pytania, tak i ten praszczur myślistwa naszego sprzed dobrych trzystu lat, frasował się, gdy mu przyszło porównać wartość zajęcy z kosztem wyżywienia psiarni, która te zające uszczuła.

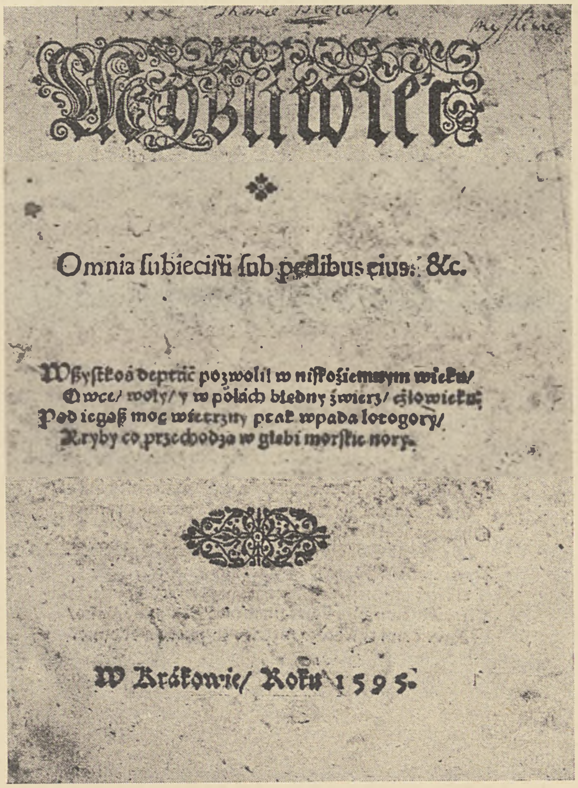
Wiele cię na dzień psi, frater, kosztują?
I zwierzów gębami ujmują?
Piętnaście groszy, a nimi zające ledwo utrącę.
A zacz ten wisa na łęku za nogi?
Trzy, cztery grosze, nie barzoć to drogi,
Zając trzy grosze, a za piętnaście psi
Urwie się w rok wsi.

Znana jest powszechna bajka Mickiewicza o Leszku i Mieszku, którzy kruchość swej przyjaźni spostrzegli dopiero w obliczu niedźwiedzia. Ten ezopowy wątek rozwija T. Bielawski inaczej. Oto dwaj kumotrzy przepili w karczmie skórę niedźwiedzia, chociaż miś jeszcze żywy chodził po lesie. Gdy przyszło potem do prawdziwego spotkania i niedźwiedź obwąchał rzekomego trupa przyjaciel (tak sens bajki wymaga) zagadnął, o co cię, proszę, niedźwiedź pytał:

Rzekł potarłszy grzybieta, polekował brzucha:
„Nie pij za skórę żywą“ — szeptał mi do ucha.

Przy sposobności warto zaznaczyć, że dopiero od niedawna znamy całkowity tekst bajki Mickiewicza. Wytrzebione przez pierwszych wydawców wiersze brzmiały tak:

Trafia na ciało, maca; jak trup leży
Wącha, a z tego zapachu
Który mógł być skutkiem strachu
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nie świeży!

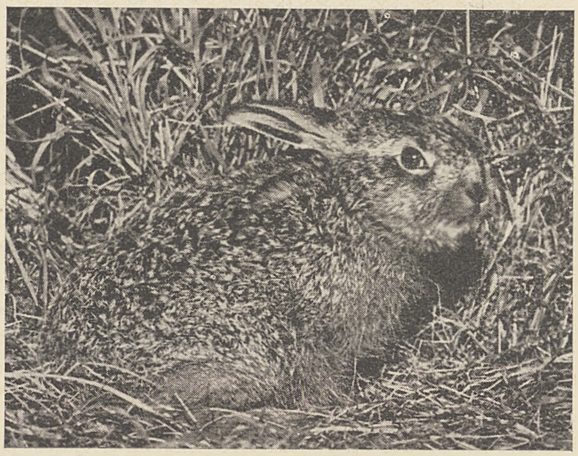

Myśliwiec
Omnia subiecisti sub pedibus eius: &c.
Wszystkoś deptać pozwolił w niskoziemnym wieku/
Owce/ woły/ y w polach błedny zwierz/ człowieku;
Pod iegoś moc wszytky ptak wpada lotogory/
Y ryby co przechodzą w głębi morskie nory.
W Krakowie/ Roku 1595.

Skoro mowa o Mickiewiczu, który z nieporównanym artyzmem uwiecznił w „Panu Tadeuszu“ polowanie z chartami, godzi się poznać, jak czynił to w stuleciu złotym jego skromny poprzednik w „Myśliwcu“. Oto początek:

Owo chart niepospolity
Skok ma za łanią obfity
Ni go dojrzeć po zagonie
Wilka pozna po ogonie
Ba nic to, ale na pole
Wypadł równo, by po stole.
Bierzy milcząc, nie skowyczy
Ni dołów ni gór nie liczy.

Opisy polowań nie wypełniają „Myśliwca“ w całości. Poemat ten składa się wprawdzie z szesnastu „obrotów“, czyli wypraw myśliwskich, ale wypełnił je autor wskazówkami i objaśnieniami z zakresu sprzętu i sposobów myśliwskich. Omówione są tedy różne rodzaje wabienia i łowienia zwierzyny, przedstawiające wartość przede wszystkim dla staropolskiego słownictwa łowieckiego. Psiarstwo

i psiarnia pasjonowały Bielawskiego szczególnie, toteż cztery „obroty“ swego utworu poświęca psu myśliwskiemu. Psa należy nie tylko wychować i wyćwiczyć, ale roztoczyć nad nim stałą opiekę. („Sam mu jeść daj, sam go sfukaj, sam psa dobrego poszukaj“). A jeśli nie będziesz go miał w dobrej pieczy, „lada czem się popsuje“, i wówczas „o raz psie zepsowanym bardzo trudna rada“. Należy psy zaprawiać od młodu, bo tylko pies młodo ćwiczon dobrze w kniei szczuje. Przystępując do tresury radzi Bielawski pamiętać, że z psami jest



Fot. E. Kossecki

Marcak

tak jak z ludźmi: „Jeden biskupem, kasztelanem drugi, co się w Padwie odłużył, tu wypłaca długi“. Więc i z psów ten nadaje się do gonienia sarn, inny będzie na zające, jeszcze inny do wilków czy dzików. Te elementarne uwagi mają rzecz jasna wartość tylko historyczno-obyczajową, podobnie jak ciekawe wskazówki co do nazywania psów. Propozycje Bielawskiego mogą się zdać i dziś. Więc suki radzi nazywać: Sałata, Sarna, Śmiga, Obrocica, charty: Karwat lub Szarłat (jeśli ozdobny); wyżły i ogary jak kto woli: „Leniwy“, „Prędki“, „Czarny“, „Stary“, „Cały“ albo: „Uciecz“, „Chwytaj“, „Szukaj“, „Wytrwaj“. Nazwy, jak widać dwuzgłoskowe przeważnie, a więc praktyczne do komendy.

Znalazłszy tyle ciekawych szczegółów z dawnego życia na wsi i w miocie na polowaniu, wciśnionych na karby wiersza — czytelnik żałuje, że Bielawski nie pisał prozą, i nie miał tej swobody, jaką daje niewiązana forma opowiadania. Ponosiła go ambicja kunsztu wersyfikacji; w każdym obrocie próbuje innej, nieraz trudnej strofy, przez co samochcąc uboży i zwęża zawartość obfitych swych opisów.

Nie byłby rodzonym dzieckim epoki renesansu, gdy nie używał jej artystycznego rynsztunku, to jest ozdób mitologicznych. Strzela tedy często do zwierząt literackich. Puszcza polotne strzały w krokodyle, bucefały, kładzie własnorącz bazyliszka, jeździ na łowy z królową Dydo, a wreszcie i chętnie bardzo poluje na salamandry. Stwora ta, wedle wierzeń bajecznych w XVI wieku powszechnych, rodzi się w ogniu, stąd skały, w których się chowa „gorają siarką“, stąd błędne ogniki po lasach. Chcąc mieć salamandrę „na rozkładzie“ — należy opodal rozniecić jasny ogień, wtedy łatwo będzie uchwycona.

Drobne skazy i naiwności utworu Bielawskiego nie umniejszają w niczym jego wagi. Sądzę, że i dziś każdy interesujący się przeszłością łowów polskich przeczyta obroty pana Tomasza z ciekawością. Studia archiwalne mogą się przyczynić do zapisania białej karty w jego życiorysie. Warto i należy je przedsięwziąć. Protoplasta myśliwych wielkopolskich zasługuje na pamięć u swego prawnuctwa!

Stanisław Wasylewski

NAWOZY SZTUCZNE A ZWIERZYNA ŁOWNA

Wpływ nawozów sztucznych oraz innych używanych w rolnictwie pomocniczych środków na zdrowotność zwierzyny łownej, niezupełnie jeszcze jest wyjaśniony. Szkodliwe ich działanie uzależnione jest od wielu czynników, częstotliwości oraz kolejności spożywania, ilości itp.

Na podstawie ścisłych obserwacyj, badań i analiz doszliśmy jednak do pewnych rezultatów, tak że część zagadnienia o szkodliwości nawozów sztucznych została wyjaśniona.

Z nawozów sztucznych wchodzą w rachubę przede wszystkim sole potasowe oraz saletra, które używa się zasadniczo jako nawożenie pogłówne i które z uwagi na znaczne zawartości soli bywają chętnie zjadane przez zwierzynę. Wymienione gatunki nawozów sztucznych zawierają pewne ilości trucizn, a zatem nie można zaprzeczyć, by były nieszkodliwymi dla zwierzyny łownej.

Co się natomiast tyczy soli potasowych, to z reguły bywają one używane na łąkach i to jako nawożenie pogłówne, a na roli rozsypywane długo przed zasiewami jeszcze, tym samym więc bywają podorywane. Na łąkach ponadto przeważnie jesienią (kainit), to jest w czasie, kiedy zwierzyna na łąki już nie wychodzi. A zatem prawdopodobieństwo, że zwierzyna łowna ma możność przyjmowania większej ilości tych nawozów sztucznych, jest bardzo nikła.

Co dotyczy saletry chilijskiej, to aczkolwiek posiada własności bardzo trujące, możliwości zatrucia nią zwierzyny łownej są również minimalne, gdyż nie używa się nigdy saletry jako nawożenia pogłównego w tak wielkich ilościach na łąkach jak np. kainit; po wtóre łatwa rozpuszczalność saletry w wodzie daje gwarancje, że dość szybko się rozpuści i znika z powierzchni. Z tej też przyczyny stosuje się chętnie nawożenia saletrą krótko przed deszczem; a nawet wówczas, o ile nie ma deszczu, starczy zazwyczaj rosa nocna dla rozpuszczenia saletry. Z uwagi na to, że saletra chi-

lijska rozsypywana bywa w stanie bardzo rozdrobdnionym, przeto cząsteczki, które często zostają w kątach liści, są tak małe, że nawet zjedzone przez zwierzynę nie mogą jej zaszkodzić. Przy maksymalnej dawce 150 kg na ha przypada na 1 m^2 jedynie 15 gramów, co jest bardzo mało przy dość wielkim ciężarze gatunkowym saletry. U oziminy nie używa się jednak od razu tak wielkich ilości saletry, która zawiera azot w najbardziej rozpuszczalnej formie. Całą dawkę raczej dzieli się na 2 do 3 partie, które rozsypuje się w pewnych odstępach czasu. Tym samym więc zmniejsza się również możliwość, by zwierzyna od razu spożywała szkodliwe dla jej zdrowia ilości saletry. Zatrucia saletrą objawiają się kurczami żołądkowymi. Sekcjonując padłą sztukę, skonstatować można zapalenie błony śluzowej, żołądka i jelit.

Azotniak w porze wilgotnej przetwarza się w cyjanamid o trujących własnościach. Ma on jednak tak niemiłą woń, że zwierzyna go unika. Inaczej będzie się przedstawiała kwestia w porze suchej, kiedy azotniak może dostać się wraz z paszą do żołądka, gdzie staje się powodem zatrucia.

Tomasyna i superfosfat w stanie czystym okazały się na podstawie badań zupełnie nieszkodliwymi. Jedynie superfosfat zanieczyszczony kwasem fluorowodorowym a tomasyna arszenikiem wywołuje u zwierzyny zatrucie. Ponadto tomasyna wchodzi w rachubę dla łąk jesienią tak samo, jak kainit jako nawożenie pogłówne. A zatem straty wśród zwierzostanu powodowane tomasyną są niemal że wykluczone.

Reasumując powyższe, należy stwierdzić, że w łowiskach w których zwierzyna posiada normalne warunki pokarmowe oraz gdzie ma dostateczne ilości soli, tam nie istnieje obawa, by powstały większe straty wśród zwierzostanu przez nawozy sztuczne.

Dr Leon Ossowski



Fot. E. Kossecki

Już jest widłakiem

WRAŻENIA Z WYSTAWY »ŁOWCA WIELKOPOLSKIEGO«

(do art. pod powyższym tytułem w nrze 4/1938)

W opisie wystawy „Ł. W." umieścił p. inż. J. Modzelewski wzmiankę o wystawionej przez p. dra P. S. „pokaźnej kolekcji lir cietrzewich" ubitych w okolicach Rakoniewic w Wielkopolsce.

Na św. Huberta! To przecież znany sprzed ca 20 do 25 laty raj cietrzewi, gdzie jeszcze na tokach z r. 1914 myśliwy z jednej budki obserwować mógł sto i więcej tokujących cietrzewi! To trójkąt Wielichowo—Wroniawy—Przemęt położony tam, gdzie nizina zmeliorowanej rzeki Obry osiąga swą największą szerokość.

W latach przed wybuchem wojny światowej szacowano na tym obszarze, obejmującym ca 10 tys. ha łąk i lasów liściastych 1 800 do 2 000 sztuk cietrzewi, a widok stada liczącego 300 i więcej sztuk tych miłych granatowych rycerzyków, nie należał w porze zimowej do rzadkości.

Cietrzew niekoniecznie wymaga większych obszarów nieużytków, ponieważ chował się doskonale na zmeliorowanych dwukośnych łąkach doliny obrzańskiej, niepokojonych przez sprzątających siano dzierżawców od początku czerwca do końca września. Od listopada do końca marca odbywała się zwózka siana zastożonego na łąkach, tak, że ruch dość ożywiony panował tam w ciągu 8 miesięcy każdego roku. Zato od końca marca do połowy czerwca panował bezwzględny spokój.

Czy Kochani Czytelnicy mogą sobie wyobrazić widok toków na tych obszarach? Opisać toki, grę, a szczególnie bełkot wydany z setek gardeł cietrzewich równocześnie, zlewający się w jedną potężną symfonię graną na cześć Stwórcy w czasie budzącej się ze snu przyrody, nie! — nie podejmuję się, bo do tego potrzeba pióra śp. Juliana Ejsmonda!

Niestety w roku 1914 i 1915 główne dowództwo armii niemieckiej z obawy przed wtargnięciem do Wielkopolski armii Mikołaja Mikołajewicza ufortyfikowała północne pobrzeże doliny obrzańskiej, zalewając równocześnie za pomocą śluz całą nizinę, zamieniając ją na sztuczne jezioro. Pierwsze kilka tygodni zalewu cietrzew nie brał za złe, gdyż był przyzwyczajony do czasowych zalewów trwających w mokrych latach dwa do sześciu tygodni. Zalew z roku 1914/15 trwał jednakże przeszło pół roku, a co gorzej, zamiast swych

dawnych tokowisk znajdując w kwietniu 1915 równe lustro wody, pozostawił je kaczkom i wyniósł się, św. Hubert raczy wiedzieć — dokąd!

Pozostało w łowisku kilkanaście cieciorek i kilka tylko cietrzewi. Wydawałoby się, że nie byłoby tak trudno doprowadzić stan tego szlachetnego ptactwa już nie do pierwotnej liczby, ale do jakich 200 do 300 sztuk. Sam potwierdzam to zdanie wyrażone przez wielu myśliwych znających dawne stosunki, bo i warunki terenowe nie pogorszyły się, owszem są znacznie lepsze, ponieważ w ostatnim 10-leciu powstało na tym obszarze dużo młodych remiz i lasków liściastych, dając cieciorkom możność spokojnego wylęgu i wychowu swego potomstwa. Mimo sprzyjających warunków stan liczebny cietrzewi podnosi się z roku na rok tylko bardzo minimalnie. W kilku łowiskach znanych mi spotkać można obecnie 25 do 30 cieciorek, kogutów zaś bardzo znikomą ilość. Odnalezione przypadkowo gniazda opuszczane zostają po kilkutygodniowym wysiadaniu przez cieciorkę. Zbadane w kilku wypadkach jajka okazały się niezapłodnionymi!

Gdzież więc podziewają się koguty i cóż u licha czynią w czasie toków, że nawet te parę mendeli jajek zapłodnić nie mogą? Większość właścicieli łowisk od r. 1914 nie ubiła nawet jednego koguta, widząc dotkliwy ich brak. Przypisywano winę lisom, jastrzębiom i Bóg wie komu, lecz wreszcie nr 4 „Myśliwego“ przynosi nam rozwiązanie zagadki! Prawdopodobnie przyjezdny z dalszych stron, bo piszącemu te słowa nieznany dr P. S. — jak przypuszczać należy — dzierżawca jakiegoś polowania gromadzkiego przyległego do łęgu obrzańskiego, wystawia w Poznaniu „Pokaźną kolekcję lir“ ubitych cietrzewi z okolicy Rakoniewic w Wielkopolsce. „Pokaźna kolekcja lir cietrzewich“! Tak! Pokaźna naprawdę musiała być ta kolekcja, zdobyta kosztem pełnych gniazd niezapłodnionych jajek, a w następstwie unicestwienia starań o zachowanie dla potomności tego szlachetnego ptactwa łownego, należącego u nas w Wielkopolsce już do rzadkości!

Niewymownie wdzięczny jestem p. inż. Modzelewskiemu jako myśliwy i przyjaciel przyrody, za to mimowolne odkrycie! W imieniu kilku zainteresowanych prawidłowych myśliwych-hodowców cietrzewia z okolicy Rakoniewic, proszę p. dra P. S. o wstrzemięźliwość w odstrzale, lub co bardziej celowe, o kilkuletnią zupełną ochronę cietrzewi, bo odzywają się już głosy domagające się wysłania prośby do Urzędu Wojewódzkiego o zawieszenie polowania na cietrzewie, koguty na okres 3 do 5 lat, by zapobiec wytępieniu ostatnich okazów tego ongiś tak licznego ptactwa łownego na naszym łęgu.

Warunki terenowe we wspomnianej części łęgu nigdy nie ulegną zmianie, najwyżej można podnieść jeszcze kulturę łąk i lasów, a to jak już wyżej wspomniałem nie przeszkadzało rozwojowi stanu liczebnego cietrzewi przed rokiem 1914. Nowe wioski lub osady powstać tu nie mogą z powodu zbyt podmokłej gleby torfiastej przy często powtarzających się powodziach. Kącik więc jak wymarzony dla naszych granatowych rycerzyków, których przekazały nam dawne pokolenia, a pokolenie obecnie żyjące winno polować tak, aby i przyszłe pokolenia ucieszyć mogły się widokiem cietrzewia wśród boskiej przyrody, a nie okazami zaprawionymi arszenikiem i naftaliną w naszych muzeach, złorzecząc nam, że nie umieliśmy im przekazać tego, co nam przekazali nasi przodkowie!

Karol Nadobrzański

O JAMNIKU

Prawy myśliwy uważa za punkt honoru mieć obok siebie w łowisku psa, wychodząc ze słusznego zresztą założenia, że gdy starczy na strzelbę i ekwipunek myśliwski, starczyć musi również na niezbędnego podczas polowania psa legawego. Nie zdążam do omawiania problemu legawców, pragnę wspomnieć jedynie o naszym krótkowłosym jamniku. Zatem podam złe i dobre strony tego ogólnie znanego urwisza.

Na ogół to piesek bardzo inteligentny i szybko się orientujący. Zapoznawszy się z porządkiem domowym, orientuje się bardzo dobrze a w szczególności w przygotowaniu swego pana na wyprawę do kniei. Wiedząc z doświadczenia, że nie zawsze uda mu się wyjednać towarzystwo do łowiska, ukradkiem stawia swego pana przed faktem dokonanym, i jako pierwszy udaje się w drogę, czekając na skraju lasu nadejścia swego pana, by następnie swym ulubionym „jaf — jaf“ oznajmić swe urzędowanie w kniei. Cóż robić? Wołanie — daremne, nawet zawrócenie do domu pozostałoby bez rezultatu, gdyż jamnik już poznał się na takich manewrach i dał się kiedyś nabrać; lecz dziś doświadczony w tego rodzaju pociągnięciach swego pana czeka na skraju lasu na powrót chlebodawcy świadom tego, że jest to jedyna droga do lasu. Wie on dobrze, że na tej koncepcji gorzej nie wyjdzie, gdy czeka go bliższa znajomość z sympatyczną i zresztą z „przytulności“ dobrze mu znaną szpicrutą. Jako przedstawiciel psiego rodu jest on bowiem zdania, odnośnie znanego przysłowia, uważając jego zmianę jako bardzo wypróbowaną i trafniejszą „co się zwlecze, to nie ucieczce“. Jamnik to towarzysz bardzo „posłuszny“. Gdy bowiem wszystkie zabiegi w zwabieniu go w terenie zawiodą, wypowie się wreszcie w uniesieniu „przyjdziesz tu albo nie“ jamnik zawsze posłuszny — lecz mając możność wyboru — więcej przypada mu do gustu „nie“. Pozostawia swego pana w sytuacji bez wyjścia, który w końcu wykrztusiwszy parę mniej sympatycznych słów — machnie ręką i idzie dalej.

Gros myśliwych a w szczególności leśników, uważa jamnika, poza jego pracą pod ziemią do jakiej się właściwie kwalifikuje, jako niepożądanego towarzysza w kniei, albowiem wystrasza zwierzynę. Jak o sprawie tej sądzić, niech posłużą moje obserwacje, z którymi pragnę się podzielić z czytelnikami „Myśliwego“.

Pewnego dnia mój krótkowłosy jamnik dał, jak zwykle, znak swej obecności dopiero w lesie swym „jaf — jaf“. Znajdując się w sytuacji bez wyjścia, wszedłem do 30-letniego drzewostanu, by tam ewentualnie natknąć się na urwisza i go przyłapać. Gonitwa kręciła się stale w kółeczko i obserwując zające, sarny, bażanty i króliki, widzę spokojnie ich bieganie względnie kicanie pomimo, że jamnik o kilka kroków od zwierzyny gardłuje z wyładowaniem całej swej energii. Obserwuję powoli kicającego zająca, pomimo że na parę kroków za nim drze się zawzięcie jamnik. Zając nagle odskoczył w bok, siada i w odległości około 10 kroków przepuszcza jamnika, pędzącego prosto pomiędzy rządkami drzew. Po przebiegnięciu jamnika zając najspokojniej wącha po ziemi, pokicał do leżącej o krok gałęzi i zajęczym zwyczajem ociera brodę o sterczący koniec gałązki raz z tej, to znów z drugiej strony, dając jakoby do zrozumienia, że z obecności jamnika sobie nic nie robi. Obserwując następnie częściej występy jamnika, ujawniłem podobne ustosunkowanie się innych gatunków zwierzyny i niejednokrotnie zauważyłem, że jelenie podobnie bawiły się z jamnikiem, podchodząc do mnie o parę zaledwie kroków za jamnikiem. Gdy jamnik zauważył mą obecność za drzewem, zdobył się na większą odwagę, zaczął energiczniej atakować jelenie, które jednak równym temperamentem mu się odwdzięczyły, przy tym krótko pochrząkiwały.

Charakterystyczny wypadek miałem w związku z odstrzałem łani, która nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności raniona przestrzałem badyla w górnej części pomimo 2-dniowych poszukiwań z gronem myśliwych i nagonką nie została ubita. Deszcz, jaki padać zaczął po strzale, przeszkodził w pracy jamnikowi szorstkowłosemu. Piesek początkowo pracował dość dobrze. Wskazał w 8 wypadkach kawałki kości. Ostatni raz około 400 metrów od zestrzału lecz dalej stale zawracał i tropu wskazać więcej nie zdołał. Mając w ostatnich latach okazję prowadzenia na farbie posokowca hanowerskiego równocześnie z jamnikami szorstkowłosymi, więcej przypadł mi do gustu ostatni, którego pracę na farbie stawiam na równi z hanowerczykiem. Poza tym jamnik się lekko prowadzi i ma tę dodatnią stronę, że na wypadek konieczności puszczenia go z otoku, zwierzynę zdrową zupełnie nie spłoszy, zaś sztuka chora przed jamnikiem daleko nie odbiega, dając tym samym myśliwemu możność podejścia za głosem jamnika i dostrzelenia sztuki która natomiast przed hanowerskim lekko postrzelona uchodzi bardzo daleko i ginie na zawsze.

Powracając do sprawy mego jamnika krótkowłosego tzw. „urwisza“ przypominam sobie, że 5 dni po moim nieszczęśliwym w swych następstwach strzale na łanie byłem znów w lesie. Zwykłym swym sprytem i w tym dniu uprzedził mnie mój zacny towarzysz — jamnik. Słyszę dopiero w lesie jego znane „jaf-jaf“. Co było robić! — namyślam się — tłumaczę — pora zimowa — więc właściwie nic złego nie zrobi, — machnąłem ręką — jadę dalej. W odległości około 4 km od miejsca starego zestrzału zatrzymuję się, by odebrać gotowy zrąb. Nagle słyszę w odległości około 300 m, że jamnik w 30-letnim gąszczu na coś się natknął



Fot. A. Jutrowski

Przyjaciele

i jakoś wytrwale ujada na jednym i tym samym miejscu. Po chwili głos dochodzi słabiej i idzie w kierunku na prawo położonej drągowiny, nad skrajem której staram się zbliżyć do celu, albowiem ujadanie wydawało mi się być nieco inne jak zwykle. Nie ulegało już wątpliwości, że jamnik miał coś nieprzeciętnego, gdyż uganiał się przeszło godzinę za jedną sztuką; wejście do gąszczu było niemożliwe, bowiem dalej do 2 m wgłąb widzieć nic nie było można. Trzeba zatem było się uzbroić w cierpliwość. Nagle ujadanie jamnika zbliża się w kierunku drągowiny i ja orientując się, że obecność moja zbyt blisko gąszczu mogła by coś popsuć, oddaliłem się o 40 kroków od gąszczu i słyszę nadbieganie jamnika. Wyskoczył wystraszony z gąszczu, by znów do niego wpaść i za chwilę znów wyskakuje i za nim widzę sylwetkę łani, atakującą jamnika. Gdy ruchy łani wydawały mi się nienormalne, szukam przez lornetkę przyczyny i zauważam łanię z przestrzelonym prawym przednim badylem. Uchwyciłem moment gdy łania wysunęła się nieco z gąszczu i nim zdążyła zaszyć się na nowo w młodniku, otrzymała strzał w miękkie. Jamnik za łanią z wielką awanturą. Ocknąłem się, gdy jamnik w odległości około 50 kroków oznajmił mi, że sztuka już została. Podchodząc ostrożnie gotowy do strzału widzę jamnika szamocącego łanię, dającą jeszcze słabe znaki życia. Strzał w miękkie z wylotem na komorze, choć trochę niski, działał należycie. Była to łania, do której strzeliłem kilka dni temu. Strzał pierwszy w górny badyl. Dostałem sztukę tą jedynie dzięki temu małemu brudasowi, nie mogłem się opanować, by niezwykłą mą

radość wyrazić przez uściskanie utytłanego w błocie i w farbie urwisza.

Po wypatroszeniu załadowano łanię na wózek i w powrotnej drodze jamnik nie hasał już po lesie unikając zbliżenia się do wózka, lecz po zapakowaniu łani, sam bez proszenia, zajął prezydialne miejsce na siedzeniu, przeświadczony, że mu się to należy. *St. Cenkier*, nadl.

Nie mogę się zgodzić z wywodami Szanownego Autora, że praca jamnika równa jest pracy posokowca. Jamnik idzie za farbą bardzo dobrze. Specjalizacją jego jednak jest praca podziemna, a tropienie jest że tak powiem „zajęciem ubocznym". Specjalnością natomiast posokowca czy to hanowerskiego czy też bawarskiego jest tropienie postrzałka. I jest rzeczą bezapelacyjnie stwierdzoną, że żaden pies nie dorówna na farbie pracy posokowca.

Co do twierdzenia, że jamnik po puszczeniu go z otoku nie płoszy zdrowej zwierzyny, chora natomiast przed jamnikiem daleko nie odbiega, przyznać muszę rację wywodom tym. Jednakże czy jamnik dogoni i osaczy jelenia, gdy strzelona sztuka poprzednio została już ruszona? Zapewne Szan. Autor w swej długoletniej praktyce „jeleniej" spotkał się z tym, że sztuka trafiona nawet stosunkowo dobrze, jednakże przedwcześnie ruszona, uszła bardzo daleko i nie została już znaleziona.

Pewnie, że myśliwy woli używać jamnika bo mniej zachodu, a ponadto jest to pies i na dziki i na lisy, króliki i na farbę. A posokowiec — to tylko na farbę. A prowadzenie jego dość trudne. Jednakże łowiska z grubą zwierzyną winny posiadać psa specjalistę-posokowca, by jak najmniejszy procent tej szlachetnej zwierzyny zginął na skutek złych strzałów. *L. O.*

PRAWO FIZJOLOGICZNE

(Z teki „Myśliwi od przypadku")

Adam hr. Rzewuski w książce „Ze strzelbą na ramieniu" opisuje w rozdziale zatytułowanym „Fatalne toki" epizod, jak to do zapadłej leśniczówki w Rosji przyjechał Dyrektor Departamentu leśnego baron Westen-Zünden na toki głuszców. Dygnitarz ten nigdy w życiu nie polował na tokach; obawy zatem nadleśniczego o nieszczególnym wyniku polowania były całkiem uzasadnione. Radzi się leśników jak najlepiej urządzić polowanie, by koniecznie padł głuszec z ręki naczalstwa. Za namową starego gajusa-poleszuka nadleśniczy postanawia poprowadzić gościa pod drzewo, na którym z uprzednio już ubitym głuszcem miał zasiąść ów gajowy — dobry posiadający kunszt tokowania. Po strzale barona gajowy winien był rzucić głuszca — no i udane polowanie! Podchód odbył się według programu, tylko, że „głuszec" nie tokował. Niezależnie od tego podprowadzają gościa do miejsca, gdzie gajus winien był siedzieć. Brzask coraz wyraźniejszy. Ostatnia chwila. Gość za namową przewodnika strzela w pewnym kierunku, głuszec spada. Ale o zgrozo, razem z workiem. Gajus za-

MATKI

Ostoja Zawilec dzięki specjalnej opiece właściciela i troskliwości leśników miała tak wielką ilość sarn, że nie tylko zaczęły się degenerować co do wielkości, koloru sukni i jakości parostków u sarników, ale także zapadały coraz częściej na różne choroby. Toteż na podstawie specjalnego zezwolenia otrzymali leśnicy polecenie odstrzału bez ograniczenia przez cały rok sztuk zdegerenowanych i podejrzanych, a pomiędzy nimi także i sztuk jałowych, których było coraz więcej.

Leśniczy Surma znał je prawie wszystkie. Chociaż żal mu było strzelać je, rozumiał dobrze że dalsze zwiąkszanie się zwierzostanu bez intensywniejszego odstrzału doprowadzi do zupełnego zniszczenia dobrego łowiska. Wystrzelał już większą ilość sztuk chorych i postanowił rozpocząć odstrzał kóz jałowych od dobrze mu znanej w jeżynach nad strugą, która już od dwóch lat nie miała koźląt, a przy każdym obchodzie ostępu ostrzegała, jak stary sarnik, całą knieję.

*

Wśród zielonych gąszczy leszczyn, kruszyn i głogów, w tajemniczym zakątku przyszło na świat dwoje koźląt. Były śliczne. Ich jasnobrązowe centkowane sukienki lśniły w promieniach słońca, jak najpiękniejszy jedwab, a duże czarne oczy ze zdziwieniem patrzyły na otaczający je świat. Dobrze im było w nieprzejrzanym listowiu, pod czułą opieką matki, która z bezgranicznym poświęceniem i cierpliwością darzyła je pożywieniem i broniła przed niebezpieczeństwami. Jednakże ta pełna miłości troskliwość matki nie trwała długo. Po odkarmieniu małych, kierowana istotnymi dla niej zachciankami „latawicy", goniącej za nowością, wrażeniami i przyjemnościami, opuszczała je coraz częściej i odchodziła coraz dalej, nie zastanawiając się, jakie niebezpieczeństwo grozi jej dzieciom od lisa, czy zabłąkanego psa. Wracając z swych wędrówek zastawała obok nich starszą, od dwóch lat jałową siutę z nad strugi, która je pilnowała, tęskniąc za własnym dzieckim. Przed laty straciła je w strasznych boleściach, po zabójczej ucieczce przed dużym psem włóczęgą. Od tego czasu dzieci nie miała.

Tęsknota za dzieckiem, za widokiem małego koźlątka, gnała ją po całym ostępie. Podchodziła do szczęśliwych matek i — chociaż z ukrycia — poiła swe smutne, czarne oczy widokiem rozkosznych maleństw. Czasem tylko zapalał się w zapatrzonych oczach fosforyzujący błysk zazdrości. Wtedy odskakiwała, jakby bojąc się swego bólu

snął na drzewie, dopiero strzał go obudził, no i z przerażenia rzucił głuszca w worku. Epilogiem tego skandal — dymisja itd.

Opis ten przypomina mi pewną podobną historię, która miała miejsce w ostatnim dwudziestoleciu na Pomorzu, jednakże dzięki szybkiej orientacji i sprytowi przebiegłego leśniczego-przewodnika, przygoda ta nie tylko skończyła się szczęśliwie, ale leśniczy otrzymał nawet pamiątkową nagrodę od dygnitarza, którego prowadził.

A rzecz miała się następująco:

Przyjechał na toki poseł jednego z państw ościennych. Staruszek, w wieku około 70 lat, myśliwy od przypadku. Pomimo podeszłego wieku, miał wyśmienity słuch, wzrok jednakże bardzo szwankował. Ponoć przypadłości z wojny światowej! Leśniczy po zasadzeniu kogutów, podprowadzał Pana Posła co każdy ranek pod koguta. Cóż, kiedy Ekselencja wprawdzie grę głuszca dobrze słyszał, jednakże koguta nigdy dojrzeć nie mógł; a o świcie zwykł był głuszec zlecieć do kur; do strzału już za późno.

Mozolił się biedny leśnik tak 7 ranków, a miał nakaz, by Wyśmienity Gość „obowiązkowo" ubił koguta. Wymagała tego racja stanu — vis maior. Wpadł więc na pomysł podobny do sztuczki gajusa poleszuka, opisanej we fragmencie wspomnień A. hr. Rzewuskiego. Ubił głuszca na zapadach i poprosił sąsiada leśniczego, mistrza imitacji pieśni głuszca, by „zapadł" z ubitym kogutem w leśnictwie X oddz. 104, niedaleko drzewa, na którym rosła tzw. czarcia miotła. Po strzale, oddanym przed brzaskiem jeszcze w kierunku czarciej miotły, leśniczy miał rzucić głuszca, no a potem dalsze, jak zwykle na polowaniu. Podejście do zdobyczy, powinszowanie, złom, czasami nawet pocałunek z dubeltówki, reprezentacyjne cygarko, jak to było, a kogut tak, ja siak, to w lewo, a moja flinta, wyśmienicie — naturalnie, jakże inaczej być mogło, Holland, Purdey, pełne czoki itd.



Borsuk, opuszczający norę Fot. M. Studzik

I wszystko odbyło się według ułożonego programu. „Głuszec" grał aż miło. Ekscelencja przy pomocy leśniczego raźno podskakiwał. Byli już niedaleko drzewa z czarcią miotłą; cóż, kiedy Pan Dyplomata nie mógł koguta dojrzeć. Ekscelencja słyszy? Tak! Bardzo dobrze! Ekscelencja widzi? Nie — gdzie on jest? Ot tam! Nie widzę! I tak w kółko, a niebo coraz silniej zaczęło szarzeć Ostatnie chwile! Leśniczy pomaga myśliwemu podnosić flintę, pokazuje ręką w kierunku czarciej miotły i szepce — strzelać Ekscelencjo, na moją

---

i rzucała w głąb leśnych głuszy przeraźliwe wołania. Czuła się natomiast chociaż częściowo szczęśliwą, gdy mogła bronić i ochraniać cudze dzieci.

*

Dziś przed wschodem słońca, podbiegła znowu „latawica" za pobekującym rogaczem na pola, na słodkie trawy, wyrosłe w słońcu.

Koźlątka daremnie oczekiwały jej powrotu, nie bały się jednak, bo przy nich pasła się ostrożna sarna z nad strugi.

*

Pierwsza połowa czerwca upajała wszystkimi krasami wiosny w pełni jej najrozkoszniejszych powabów. Ranek otrząsał się z pereł zimnej rosy tęczowymi barwami seledynu i malachitu, przygasających w różowych blaskach budzącej się zorzy.

Surma szedł ze sztucerem brzegiem lasu nad polami podchodową ścieżynką cicho jak duch... Co chwilę oglądał przez lornetkę wracającą do ostępu z żerowiska zwierzynę, ale ciągle przyspieszał kroku, żeby jeszcze na czas dojść nad strugę i spotkać swą znajomą jałową sarnę.

Wyjrzał na pole. Z rogaczem uchodziła wolno do lasu duża sztuka bez koźlęcia.. To pewno ona! Matka z rogaczem teraz nie chodzi! Szybkim ruchem chwycił sztucer, złożył się i pewnym strzałem powalił domniemaną kozę na rowie przed strugą. Kiedy doszedł do martwej już sztuki i oglądnął ją i strzał dokładnie — przeraził się — to nie ona! To sarna od młodych! Zaklął serdecznie i poszedł zatroskany w kierunku leśniczówki po konie. Idąc przysięgał sobie w duszy, że nie spocznie dopóki tego strasznego diabła — tej jałowej, nie zastrzeli.

*

Mijały dni i tygodnie, a Surma nie mógł więcej spotkać znienawidzonej sarny ani opuszczonych koźląt po odstrzelonej matce. Ile razy błądził po ścieżkach Zawilca, słyszał podobny głos straszenia jak tej jałowej i nawet widział podobną do niej dużą sarnę, ale ta prowadziła z sobą dwoje ślicznych koźląt i otaczała je nadzwyczajną troskliwością i miłością.

Nadaremnie nowe ścieżki wydeptał Surma wśród jeżyn nad strugą. Jałowej sarny bez koźląt już więcej nie dostrzegł, chociaż zawsze swym bekiem ostrzegała knieję przed ludźmi. Koźląt-sierotek nie spotkał także.

Niezbadana knieja zagoiła rany, naprawiła zło i nie wydała swych tajemnic.

Surma nie odgadł nigdy przyczyn tragedii i szczęścia obu matek, ani swej roli, jaką bezwiednie odegrał.

Jadwiga Holzerówna

odpowiedzialność. Kogut zaraz zleci do kur. Huknął strzał i spada kogut. Gracko! Już się nie ruszy! Szybko do drzewa, pod którym leżał ptak, by go zabrać i nie widziano leśnika, siedzącego w rozwidleniu konarów.

Na dukcie zatrzymują się, a Ekscelencja obmacuje ptaka, podziwia jego wielkość, piękny kołnierz i wachlarz, przesuwa rękę po biegach, aż tu nagle zdziwiony nieco i podejrzliwie odzywa się: „Panie leśniczy, przecież głuszec jest już zupełnie sztywny, a zaledwie upłynęło 3 minuty po moim strzale. Tu coś nie jest w porządku". A na to sprytny leśnik odpowiada spokojnie: „Ekscelencjo! Głuszec podczas toków jest nie tylko ślepy i głuchy, ale — jak to być powinno podczas godów weselnych — zupełnie sztywny. Wszak to prawo fizjologiczne!". „Tak, tak, Kochany Panie Leśniczy, racja — prawo fizjologiczne, ślub, gody — wszystko w porządku. Przecież siedemdziesiątkę już minąłem: gdzie czasy moich godów? Więc słusznie mogłem zapomnieć a takim prawie fizjologicznym.. — Dawne to już dzieje! No kochany Leśniczy, zapalmy sobie cygarko — proszę — a srebrną tę cygarnicę proszę sobie zatrzymać jako pamiątkę mego sukcesu na dzisiejszym polowaniu."

Dilo

WARUNKI WYKONANIA DOBREGO NABOJU

3. P r z y b i t k a i zatyczka. Przybitka powinna być wojłokowa, lekko przetłuszczona, obustronnie oklejona papierem impregnowanym, nieprzenikliwym dla tłuszczu. Zatłuszczenie prochu uczyniłoby go trudnozapalnym a tym samym dawałby on dużo osadu w lufie i słaby strzał. Elastyczność przybitki wojłokowej umożliwia stopniowe, spokojne ruszenie śrutu z miejsca, przez co unika się w wysokim stopniu zdeformowania poszczególnych ziarn — wiadomo zaś, że im bardziej ziarnko śrutu jest zdeformowane, i bardziej odbiega od geometrycznej formy kuli, tym bardziej w czasie ruchu w przestrzeni odbiega od linii prostej. Twarda, mało elastyczna przybitka, popchnięta przez powstałe raptownie gazy prochowe, trąca gwałtownie warstwy śrutu, powodując ich zdeformowanie przez nadmiernie silne parcie. Im więcej zdeformowanych śrucin, tym nierównomierniejszy obraz na tarczy.

Przybitki nie zawsze bywają dostatecznie sortowane, toteż do ładowania naboju wskazane jest dobrać sobie odpowiednią jej wysokość, aby śrut, a szczególnie proch, nie były zanadto zgniecione, wskutek zarolowania łuski. Przybitka musi mieć odpowiednią wysokość, aby po nasypaniu śrutu i założeniu zatyczki, pozostało obrzeże łuski 4 do 6 mm do zarolowania.

Poniżej podajemy tabelkę zależności wysokości przybitki od średnicy śrutu, aby uzyskać normalny stosunek załadowania:

Śred. śrutu w mm	Wysokość przybitki w mm		
	kal. 12	kal. 16	kal. 20
4,25	13	12	11
3,25 - 4,00	14	13	12
2,25 – 3,00	15	14	13
1,25 - 2,00	16	15	14

Z a t y c z k a zamykająca śrut — to najczęściej kartonik dosyć twardy, a jednocześnie możliwie lekki i niegruby, aby wytrzymał napór śrutu przy zakręcaniu nabojów. Nie powinien być zbyt miękki, aby nie ulegał deformacji w lufie. Zbyt cienka zatyczka może spowodować „miękki" strzał. Zbyt twarda i gruba — wpływa ujemnie na pokrycie.

4. Ś r u t. Przed załadowaniem śrutu należy zawsze sprawdzić, czy odpowiada on w całej swej masie podanej numeracji, względnie czy ilość ziarn wskutek niewielkich różnic w średnicy odpowiada przepisanej ilości dla tej średnicy.

Za mała ilość śrucin powodowałaby niedostateczne pokrycie, a zbyt małe śruciny, choćby przy ich dużej ilości, nie mogłyby zabić zwierzyny. Ważnym czynnikiem jest również twardość śrutu, którą stopowi ołowiu nadaje zawartość w nim antymonu. Zbyt miękki śrut ulega łatwo deformacji, co pogarsza własności balistyczne strzału.

Poniższa tabliczka podaje ilość śrucin, jaką powinien normalnie mieścić pełny 32-gramowy ładunek śrutu przy odpowiedniej ich średnicy.

Śred. śruciny w mm	4,75	4,50	4,25	4,00	3,75	3,50	3,25	3,00
Ilość ziarn w 32 g ładunku . . .	50	58	67	82	103	128	155	198
Śred. śruciny w mm	2,75	2,50	2,25	2,00	1,75	1,50	1,25	
Ilość ziarn w 32 g ładunku . . .	251	332	448	694	1014	1600	2720	

Ładunek śrutu powinien normalnie wynosić w gramach:

Naboje	Kal. 12	Kal. 16	Kal. 20
Zimowe . . , . .	33	29	26
Letnie.	31	27	25

Zwiększone ładunki śrutu są dopuszczalne, a nawet wskazane w zimie, gdyż utrzymując dłużej ciśnienie gazów z powodu trudniejszego ich wypchnięcia, wpływają wskutek tego na szybsze spalanie prochu. Natomiast zwiększenie ładunku śrutu w lecie, wywołuje wysokie ciśnienie, które oprócz wielkiego i przykrego dla myśliwego odrzutu („kopnięcia") powoduje większy rozsiew śrucin. Spodziewany efekt nie dochodzi do skutku, przeciwnie osiągamy jeszcze słabsze wyniki, aniżeli przy strzale z normalną ilością śrucin.

O polskich dubeltówkach. W pierwszych dniach lutego wybrałem się do Uściługa dla nawiązania kontaktu z rusznikarzem p. Janem Kasztelańskim.

Wyjechaliśmy we dwójkę z Łucka Harleyem 1200 ccm z przyczepką i . . . nie dojechaliśmy.

Na ulicach miasta wojewódzkiego Łuck błoto — wiadoma rzecz; na szosie a właściwie bruku do miasteczka Torczyn straszliwe wyboje — też wiadoma rzecz; od Torczyna do Włodzimierza nowa, bo niedawno zbudowana szosa; na tej szosie miejscami jeziora, bo zdaje mi się, że do świadomości tutejszych odnośnych fachowców nie dotarło jeszcze, że konieczną rzeczą jest spuszczanie wody z szosy i w ogóle z dróg; zresztą szosę tę budował żyd!

Gdyśmy dobrnęli do powiatowego miasta Włodzimierz, byliśmy obryzgani błotem, a twarze mieliśmy w centki. Na ulicach miasta Włodzimierz znów nie mniejsze błoto, niż w Łucku.

Od Włodzimierza do Uściługa już nie daleko, ale droga fatalna, a w Uściługu iście wsiowe błoto. Rozpytawszy się na miejscu o p. J. Kasztelańskiego, ruszamy we wskazanym kierunku, ale niebawem musimy się zatrzymać, bo trzeba skręcić w boczną uliczkę, a uliczka ta położona jest o kilka metrów wyżej od poziomu szosy w miejscu gdzieśmy się zatrzymali; a ponadto żeby się dostać na ten wyższy poziom, trzeba dość stromo zjechać na dół w coś w rodzaju ruczaju, którym odpływają wody roztopowe, a potem znów stromo pod górkę. Po krótkiej naradzie, czy jechać dalej czy zostawić maszynę na miejscu i pójść pieszo, postanawiamy jechać dalej, upewniwszy się u przechodniów, że to już niedaleko, i . . . zjeżdżamy w dół dość dobrze i znów pod górkę na pełnym gazie dość kiepsko, bo osiągnąwszy nieomal pożądany poziom, maszyna staje, z pod koła motorowego pryska fontanna błota i stop, bo wjechaliśmy w mieszaninę z gliny na pokładzie z lodu. Trzeba schodzić i brodzić dalej, po kostki w gliniastym błocie.

Zakład p. Kasztelańskiego przedstawia się skromnie a nawet bardzo skromnie, aż dziw bierze, że przy takim wyposażeniu technicznym można wykonywać takie precyzyjne rzeczy. Sam p. K. od mniej więcej 20 lat zajmuje się rusznikarstwem, wykonując wszystko osobiście od najmniejszej śrubki aż do grawerowania i oksydowania. W rozmowie z nim dowiaduję się, że mógłby swój zakład powiększyć, bo pracy ma aż nadto dosyć, tylko że nie może znaleźć odpowiednich ludzi — fachowców-rusznikarzy; przedtem starał się znaleźć kogoś do pomocy ale teraz po bezowocnych wysiłkach zaniechał nawet dalszego szukania. W grubszych robotach wyręcza się miejscowymi kowalami i ślusarzami.

W takich warunkach metoda pracy musi być oczywiście krańcowo różna od „Forda, Mój System". Mamy tu do czynienia z rzemieślnikiem z zamiłowania, nie ceniącego swego czasu według nowszych metod kapitalistycznych, a skupiającego się w wysiłku, by wykonać broń solidną i nadrabiającego mrówczą pracą, to co w przemyśle wykonują maszyny specjalne. Co do materiałów, to używa oczywiście tylko krajowe i twierdzi, że w niczym nie ustępują one zagranicznym i na dowód pokazuje mi rozprutą lufę ze stali Witwortha, która kiedyś była częścią składową kosztownej dubeltówki. Jakże żałośnie przedstawiała się teraz ta rozpiłowana rurka z dość cienkiej blachy, aż budzą się refleksje, że tak cienką ścianką odgradzamy nasze dłonie od kilkuset atmosfer wynoszącego ciśnienia eksplodującego prochu w ładunku.

Zasadniczo p. Kasztelański sprowadza trzy gatunki stali i to w sztabach cylindrycznych do luf, w grubych taśmach do haków zamkowych oraz w kantówkach do części zamkowej.

Materiał mamy więc jeden i ten sam we wszystkich typach wyrabianych dubeltówek, ale przy porównaniu z wyrobami zagranicznymi materiał ten znajdzie się na poziomie tego, co zagraniczne fabryki dają w cenie rynkowej około 800 zł.

Jakkolwiek p. K. wszystkie dubeltówki wyrabia na zamówienie, z daleko idącym uwzględnieniem specjalnych życzeń zamawiających, to jednak wypuszcza on 2 zasadnicze typy i to: bezkurkówki w cenie 200 do 250 zł oraz ejektorki w cenie 350 do 450 zł. Różnica w cenie w granicach tych dwu typów uwarunkowana jest odmiennym wykonaniem drobiazgów jak np. wymienne wentylowane kowadełka dla iglic albo ozdobienie, jak również samo wykończenie broni. Pierwsza kategoria dubeltówek odpowiada wyrobom zagranicznym, które u nas można nabyć za 350 do 500 złotych a druga, dubeltówkom w cenie 650 do 950 złotych. Teoretycznie p. K. może rocznie wykonać 10 do 12 dubeltówek, gdyż nad jedną dubeltówką musi pracować najmniej jeden miesiąc a przy droższych — 6 tygodni. Jest to jednak tylko teoretyczne przypuszczenie, gdyż dużo czasu zajmują reparacje i to przeważnie takie rozpaczliwe, że innym firmom wykonanie ich nie kalkuluje się; toteż nieomal z całej Polski nadchodzą przesyłki z bronią o rozerwanych lufach u wylotu lub w komorze albo inaczej poważnie uszkodzoną.

W czasie rozmowy zahaczam również o kalibry, nadmieniając, że niedawno ukazał się w „Łowcu Polskim" artykuł, w którym udowodniono dobitnie przewagę dwunastek, i — z pewnym wewnętrznym zadowoleniem słyszę potwierdzenie mego zdania, że żyjemy w okresie, w którym dwudziestki wybijają się na pierwszy plan. Otóż oświadcza p. K., że buduje prawie wyłącznie dwudziestki, rzadko kto żąda dwunastki, a szesnastki dają sobie robić w najtańszym wykonaniu pomniejsi okoliczni myśliwi, nie orientujący się może zbyt dobrze co dwudziestka a co dwunastka. W lepszym wykonaniu idą wyłącznie dwudziestki, nawet bez komór dla longów.

Mam nadzieję, że nie ściągnę na Szan. Redakcję „Myśliwego" burzy protestów ze strony sprzedawców broni za uprawianie w ten sposób reklamy na rzecz p. K., — jeżeli zakończę apelem pod

adresem ogółu Myśliwych, by pamiętali o tym, że naszym obowiązkiem jest popierać rzemiosło, zwłaszcza na wschodzie kraju. *Z. Ohl.*

Zamiast lisa — myszołów! Nawiązując do „Dziwnej przygody z wabikiem", którą opisał w nrze 1/1938 „Myśliwego" p. W. J. oraz czyniąc zadość jego propozycji, podaję poniżej analogiczną przygodę, jaką miałem w styczniu br. z tą niewielką różnicą, że wabiłem udając knazienie zająca.

Dnia 12 stycznia br. objeżdżałem saniami łowisko w celu sprawdzenia, czy zwierzyna ma wystarczającą ilość karmy wyłożonej jej w postaci owsa, koniczyny, buraków itp. Przy tej czynności zauważyłem dużo śladów lisich tak w polu jak i w lesie. Będzie dobre polowanko na mikitę z wabikiem — pomyślałem. Jeszcze przed wieczorem tego dnia zasiadłem na ambonie, wciśnięty w grupę starych brzóz, w odległości dwudziestu parę kroków od lasu. Nadmieniam, że nie posługiwałem się żadną białą zasłoną lecz korzystając z wywyższenia ubrany byłem w grubą dachę koloru zielonkawo-brązowego. Był silny mróz i obfity śnieg a więc wymarzony dzień na wabienie lisa. Po dłuższej chwili cichego wyczekiwania zawabiłem zrazu lekko i nieśmiało, potem coraz głośniej i coraz żałośniej starałem się „wmówić" w błąkającego się gdzieś po zagajach a niewątpliwie głodnego lisa, że to brat jego przyrządza sobie smaczną kolację z zająca. Wtem spostrzegłem dużego myszołowa „pikującego" spod szarych obłoków prosto na mnie. Ułamek sekundy i znalazłem się oko w oko ze skrzydlatym rabusiem, który tak nisko łopotał mi nad głową, że z łatwością trącić go mogłem wylotami luf. Całkiem odruchowo odstraszyłem go ręką tak samo, jak to uczynił p. W. J. Jastrząb odleciał i zatoczywszy koło nad amboną jak piorun „zaatakował" mnie powtórnie, tym razem odstraszyłem go jednak trochę energiczniej w nadziei, że pozbędę się nieproszonego gościa. Wszak istotnym celem moim był mikita. Omyliłem się jednak. Jastrząb odleciał trochę dalej, zatoczył znowu kilka wspaniałych kół, po czym majestatycznie opuścił się na pobliską sosnę, oddaloną o około 25 kroków od mego stanowiska. Stąd bacznie zaczął mnie obserwować — no a ja oczywiście jego. Ta wzajemna obserwacja trwała dobrą chwilę. W końcu jednak — nie widząc w pobliżu lisa — zdecydowałem się na strzał. I tak, miast rudego, leżał na śniegu rabuś skrzydlaty, przez co raz jeszcze dowiódł, że myszołów bynajmniej nie gardzi zającem szczególnie wówczas, kiedy mu głód dokucza.

Pozwalam więc sobie zapewnić p. W. J., że nasze przygody z jastrzębiem pozostaną bajeczką... z grubego tomu łaciny myśliwskiej jedynie dla tych, którzy nie zaznali nigdy rozkoszy i czaru polowania z wabikiem. *I. O.*

Si non e verro e ben trowato. Tak jak nieprawdopodobnym się słyszy i zakrawa na łacinę myśliwską, stało się to jednak kilka lat temu w drugiej połowie sierpnia. Wyjechałem wtedy na ranny podjazd kozła z teściem moim do lasu ca 30 ha, położonego wśród pól. Gdy dojechaliśmy do zagajników, dniało już dobrze, nagle usłyszeliśmy szczekającego lisa. Po chwili wypadł na łąkę w odległości 200 kroków duży czarny pies, którego nota bene znałem jako bardzo ostrożnego kłusownika, trzymając w pysku królika a może młodego zająca. Za nim wybiegł na łąkę szczekając lis i zaczęła się gonitwa wzdłuż zagajnika. Pies uciekał ze zdobyczą, a lis goniąc go, szczekał. Mimo ostrego pognania koni, nie zdołałem niestety dogonić tego komicznego towarzystwa. Zobaczywszy bryczkę, wpadły do zagajnika. Nie wiem jak tłumaczyć sobie ten zabawny obrazek. Lis był prawdopodobnie młody, a pies może zabrał mu poprzednio złowioną zdobycz. *Dr K. Wize*

Rzadka zdobycz! Objeżdżając późną jesienią pola, zwrócił moją uwagę dziwny jakiś niepokój w powietrzu. Gromady wron z niemilknącym krakaniem powodowały ten zamęt. Szukając przyczyny, spostrzegłem na dość dużej wysokości czarny punkt na tle horyzontu, prawie nie poruszający się. Początkowo sądziłem, że niepokój ten wywołał duży jastrząb. Po pewnym czasie, gdy podjechałem bliżej, serce mi zabiło, gdyż rozpoznałem orła o wielkich rozmiarach.

Mając fuzję ze sobą, pojechałem za królewskim ptakiem, który opuścił się i osiadł na skraju



Ubity orzeł

lasu. Pojechałem w kierunku za orłem. W odległości mniej więcej 80 kroków, zauważyłem siedzącego orła na małej czereśni w pobliżu leśniczówki. Gdy się zerwał, strzeliłem do niego i zauważyłem, że po strzale opuścił obydwie nogi. Podpadło mi, że mimo dwóch strzałów orzeł osiadł o 500 metrów dalej na oziminie. Drugi raz już orła nie udało mi się podjechać. Na drugi dzień nad ranem, kiedy przygotowywałem się do wyjazdu w pole, nadbiegł stangret z wiadomością, że orzeł jest na polu. I znowu puls uderzył szybciej, a pragnienie osiągnięcia takiego trofeum nie dało mi spokoju. Zaraz też poczyniłem przygotowania, zabierając przede wszystkim ze sobą mój niezawodny Mannlicher 6,5.

Orzeł rzeczywiście był na polu, zajęty padliną o jakie 100 metrów od drogi, którą jechałem. Siedział między dwoma stogami odległymi o ca 60 kroków od niego. Minąłem przyszłą zdobycz z bijącym sercem i obawą, że się spłoszy. Z chwilą gdy konie były zasłonięte stogiem, zacząłem orła podchodzić z gotową do strzału bronią. Skoro się tylko wychyliłem królewski ptak poderwał się, jednakże równocześnie dosięgnął go śmiercionośny pocisk. Podaję kilka wymiarów: siąg 2,20 m, długość dzioba 10 cm, długość największego pazura 7 cm, długość ogona 30 cm, waga 5 kg. *Tadeusz Wize*

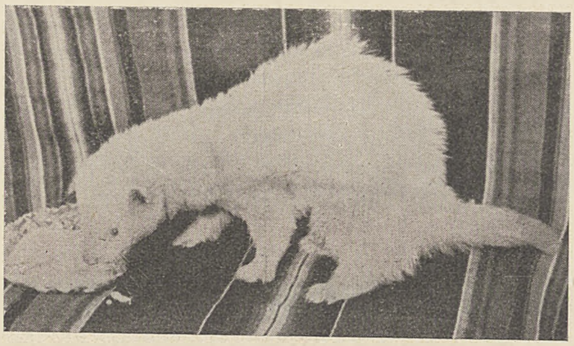
Zdobycie trofeum orła jest rzeczywiście zdarzeniem emocjonującym i nie często trafiającym się; ale czy nie szkoda tępić tę rzadkość ornitologiczną. (Przyp. Red.).

Tegoroczne toki głuszców na Pomorzu. Toki głuszców na Pomorzu zaczynają się zazwyczaj z końcem marca i trwają w zależności od aury do połowy kwietnia.

W bieżącym roku toki przedstawiały się zgoła inaczej. Zaczęły się w dniu 18 marca i to w Nadleśnictwie Suleczyno pow. kartuskiego oraz Gieldonie pow. chojnickiego. Tokowały jedynie 3 stare koguty i to przez 1 do 2 dni. Nastąpiły wichury i szarugi, z rzadka przerywane słoneczną pogodą. Na nowo zaczęły głuszce lepiej tokować w połowie kwietnia, jednakże również z przerwami. Zapewnie tokowały głuszce także z końcem marca i w początkach kwietnia, jednakże zasięg odgłosu toków był z powodu panujących wichrów stosunkowo słaby, tak że tylko baczny obserwator i wprawne ucho myśliwego mogło konkretnie stwierdzić toki. — Na ogół biorąc toki głuszców na Pomorzu były w bieżącym sezonie przerwane i nieudałe. *Myśliwy z Pomorza*

Polowanie z tchorkiem na króliki. Kilka jest sposobów polowania na króliki mniej lub więcej emocjonujących; jeden wymaga posiadania zdrowych nóg i dobrego psa, drugi sporej dozy cierpliwości i zaprawy w nużącym nieraz czekaniu, trzeci, z nagonką, może okazać się za kosztowny. Który najlepszy, zależy to wszystko, jak zresztą nieraz w życiu — od okoliczności.

Najpewniejszym jednak, jeżeli chodzi o tępienie królika, niszczącego zalesienia, czy ruchliwym i gromadnym swym trybem życia wypłaszającego bardziej statecznego zająca, nie lubiącego patrzeć na tu i tam mu przed nosem migające omyki królicze, — jest polowanie z tchórkiem inaczej zwanym fretką. Na zdjęciu dorodny samczyk przy śniadaniu, które zarówno jak obiad (i jednocześnie kolacja) składa się stale z tego samego dania: mleka lekko przygrzanego z wkruszoną bułką: od czasu do czasu jajko na surowo, dla zachowania werwy i temperamentu świeżą farbę królika, lecz podaną w spodeczku, nigdy mięso królicze. Podając pokarm zaleca się wabić tchórka dla wyro-



Fot. A. Sergejew, Jurata

Tchorek

bienia w nim „apelu“, bo to potrzebne. Tchórki białe o czerwonych oczach (albinosy), właściwie żółtawe jak pisklęta, są lepsze od ciemnych, bo łagodniejsze, przy tym w lesie łatwiej je widać, szczególnie pod wieczór, co jest wielką zaletą.

Tchórek poluje z kagańcem lub bez. Pierwsze naraża go na to, że zahaczy o korzeń w norze i może nawet zginąć z tego powodu lub też trzeba go odkopać, ponadto może spotkać się z drapieżnikami i jest wtedy bezbronny, — drugie na to, że złapawszy w norze królika, który nie mógł uciec np. dla tego, że nie miał wolnej rury wylotowej, wpije się w niego i wyssawszy „krew“ potem zadowolony słodko zasypia, podczas gdy jego pan czeka przed norą, aż się tchórek przebudzi i zapragnie świeżego powietrza. Oba wypadki nieprzyjemne. Na drugi jest wprawdzie taka rada, żeby ubitym królikiem stuknąć u wylotu o ściany rury tak, jakby królik uciekał — podobno skuteczna, — ale do tego potrzeba ubitego królika, a ten nie zawsze jest pod ręką! Jednym słowem, trzeba znać swego tchórka i wybierając się, już wiedzieć jak z nim postąpić.

Technika polowania przedstawia się mniej więcej następująco: Towarzysz Jasiu bierze pod pachę tchórka w klatce i kilka sieci o kształcie worka przyszytego do lekkiej obręczy, my strzelbę i Asa czy Gondę na smyczy — i ruszamy. Jest młodnik z norami. Puszczamy wyżła, sami stajemy gotowi do strzału gdzieś na luce w młodniku. Króliki kołują, kluczą i mogą przyjść na strzał, a jeżeli nie, to w końcu schronią się do nor. Wtedy odkładamy psa (na wszelki wypadek na smyczy) dość daleko, by go nie było widać z nor, bo inaczej króliki obawiają się wyskoczyć,

nakrywamy wyloty sieciami, które należy dobrze przymocować lub część zapychamy. Jasiu bierze kij do ręki, my strzelbę i wpuszczamy denerwującego się już tchórka. Ledwo wlazł, a już wyskakuje królik jak z procy. Strzał z przyrzutu lub uderzenie go kijem za słuchy i szybkie usunięcie go z sieci, w której się zaplątał, bo może za nim wyskoczyć tchórek, złapać go i wciągnąć z powrotem do nory a wtedy — koniec przyjemności! Zacznie się cały skomplikowany ceremoniał wywabiania nie spieszącego się tchórka z nory.

Tchórek wydziela swoistą woń słodkawą, jak by zapach miodu przypominającą, bardzo widocznie nieprzyjemną dla królików, skoro, jak tylko wejdzie do nory, naczęściej wyskakują z niej natychmiast w popłochu i panicznym strachu. Może też niezwykły dla królików odgłos jego posuwania się w norze tak je przeraża. Celne strzały lub machnięcia kijem, zbieranie łupu i, po zwiedzeniu kilku dalszych nor — triumfalny powrót do domu.

Bardziej etyczny — w pojęciu etyki myśliwskiej — bez kwestii jest strzał do królika wyskakującego przed tchórkiem z nory od łapania go w sieci i dobijania kijem, ostatnie jednak, gdy chodzi o tępienie masowo występującego szkodnika, jest i pewniejsze i w kosztach tańsze.

W obu wypadkach polowanie z tchórkiem daje osiągnięcie celu: jednemu szybko stosunkowo pozwala zredukować nadmierny stan królików niewielkim kosztem, drugiemu strzał z przyrzutu daje łatwo dostępne źródło satysfakcji myśliwskiej. *L. Schoennagel*, Hel

Cietrzewie. Nie masz obiektu, dającego tyle rozkoszy myśliwym, szczególnie na Kresach.

Oczywiście, że w kulturalnych warunkach centrum Polski pomimo zakazu, do głowy nie zapadnie dzika myśl polować na liro-ogoniastych rycerzy latem z wyżłem.

Rezerwują się rozkosze odstrzału na tokach li tylko.

Lecz dla dzikiego kresowca, okrągły rok stwarza ten wspaniały ptaszek nieprzerwane prawie pasmo delicji.

Jest nad czym i gdzie sobie pofolgować!

Istotnie, w skwarze dni sierpniowych, wałęsając się po brzeźniakach i jagodnikach, ileż to wyfarbowanych już rzetelnie murzynów, jak gruszki dojrzałe od celnych strzałów pada?

Oprócz tego, jesienią z tak zwanymi bałwanami i w śnieżycach zimowych saneczkami z podjazdów.

Nie masz prawie, można powiedzieć, antraktów i przerw, dostarczanych przez cietrzewie, w rozkoszach łowieckich.

Pod względem gastronomicznym młody tetruk jest pierwszej klasy arcydziełem kulinarnym, chociaż i stary spracowany tokowik wiosenny, należycie spreparowany, też nie jest do pogardzenia.

Do wszystkich sposobów polowań zaliczyć można też nieco, niezupełnie etyczny „strzelanie z jamek“ w czasie głębokich śniegów.

Rzucenie strzału w poświacie księżyca, w pyle śniegowym, do podrywających się ptaków, ma tyle w sobie estetyki, że poniekąd wybaczyć można gorączce myśliwskiej.

Mea culpa! Niejednokrotnie popełniałem ów kryminał.

Na dalekiej północy miejscowi tzw. promyszlenniki, właściwie mówiąc, li tylko duszą cietrzewie w pętlach i sidłach rozmaitych, w półroczu zimowym. Furami dostarczano je ongiś na rynki Petersburga, stamtąd już wagonami szły transporty na giełdy handlowe Paryża, Londynu i innych Berlinów.

Zapewne i dziś ów niecny proceder praktykuje się też, pod rządami czerwonych carów, gdyż tania to wielce operacja.

Znany mi dobrze niejaki Marcjanów, płacąc po 20 kopiejek od sztuki, miał w rocznym obrocie towaru na plus minus 100 000 par. Ekwiwalent godziwego zarobku pół rubelka na głowie, stanowił wcale przyzwoitą intratę.

Czyż istotnie teteruk nie jest to indywidualność zaiste błogosławiona? I myśliwiec na równi z kłusownikiem i tępicielem są rozanieleni!

Dla specjalistów od strzelania kulami — cietrzewie w budce stanowią wymarzone cele.

Z dobrego Winchesterku można z łatwością stuknąć z jakichś kilkanaście sztuk. Tym bardziej jest to ciekawe przy rozrzuconych tokach, gdyż podobny spec może na dowolną metę pozbierać niegrupujących się koło budki rozamorowanych rycerzy.

Właściwie mówiąc, śrutowe strzelanie, na pięć, sześć kroków odległości sprawić może niewielką satysfakcję, natomiast kompensatą kucharskich tych łowów stanowi możliwość obserwacji liro-ogoniastych oraz daje szerokie pole po wschodzie słońca, operowania kamerą fotograficzną.

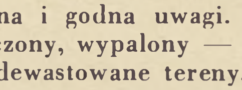
Tak, że z każdego punktu widzenia nie brak rozkoszy w obcowaniu z minstrelami naszych mszarników.

Rzecz dziwna i godna uwagi. Czym bardziej las jest wyniszczony, wypalony — tym więcej miłują podobne zdewastowane tereny, te miłe ptaki.

Poniekąd zmasakrowany las jest synonimem znacznej ilości cietrzewi.

Niech żyją śliczne cietrzewie i wszelkie z nimi związane radości łowieckie, ku wiecznej glorii św. Huberta!!! *Adam Rzewuski*

Do ornitologów. P. Edmund Kossecki, leśniczy w Karbowie pod Brodnicą na Pomorzu znalazł i odesłał do redakcji „Myśliwego“ obrączkę aluminiową znaczoną orzełkiem polskim i nr 2680/36 P.



Szkielet obrączkowanego ptaka, znalezionego w dniu 15 IV 1938 r. na polach pobliskiego majątku tuż przy lesie, był w zupełnym rozkładzie i bez głowy, prawdopodobnie był to gołąb. Może ktoś z Szan. Czytelników udzieli na łamach naszego pisma wiadomości.

Z ŻYCIA MYŚLIWSKIEGO

Maj myśliwego-hodowcy. Wiosna jest w pełni, w łowisku natomiast panuje spokój. Głuszce przestały tokować, toki cietrzewi natomiast dobiegają końca. Młode głuszce zaczynają wykluwać się z jaj, są i młode kuropatwy, a zające-marcaki znacznie już podrosły. Łanie-jelenie cielą się lub już się ocieliły. Sarny również się kocą. Na polankach często spostrzec można lochę z warchlakami, a przed norą lisią, młodziaki grzejące i bawiące się w słońcu.

W łowisku panuje spokój. Jedynie myśliwy, leśnik lub strażnik chodzą po polu i kniei, uzbrojeni w sztucerek małokalibrowy, by bez większego huku i hałasu unieszkodliwić to sójkę, niszczycielkę gniazd, to psa-skowytka, to kota domowego, wałęsającego się po polu. Szczególnie teraz w maju i w czerwcu koty zamiast pilnować domowych pieleszy i myszek, „myszkują" po lesie ale nie za myszkami — lecz młodymi kuropatewkami, bażantami i zajączkami, które obecnie stosunkowo jeszcze niezaradne, łatwą stają się zdobyczą wałęsających się lub zdziczałych k o t ó w.

Czas też w maju pomyśleć już o przygotowaniu paszy na zimę a mianowicie liściarki.

Podczas gdy siano łąkowe, zebrane w czerwcu zawiera 2% proteiny, 0,2% kwasu fosforowego i 0,1% wapna, to liściarka sporządzona z liści dębu zawiera aż 19% proteiny, 0,5% kwasu fosforowego i 0,8% wapna. Największą wartość odżywczą posiadają te pędy, które zostały zebrane w okresie najsilniejszego krążenia soków, kiedy rozwój liści doszedł do punktu kulminacyjnego. Najlepszą i najtreściwszą jest liściarka, sporządzona z jesionu, lipy, osiki, grabu, bzu czarnego i koralowego, kruszyny i dębiny, którą zwierzyna chętnie bierze i która działa dodatnio na rozwój cielesny i porożenie. Szkodliwymi okazały się jak dotychczas liście akacji i złotopaku.

W jaki sposób sporządzić liściarkę

Liście wraz z gałązkami, nie grubszymi jednak jak 2 mm, ucina się sekatorami lub nożycami ogrodniczymi, zasusza powoli na powietrzu w miejscu cienistym, aby zasychanie odbywało się powoli i liście nie zatraciły swego zielonego koloru. Następnie wiąże się gałązki w małe pęczki i przechowuje w suchym przewiewnym miejscu np. w szopach, stodołach albo układa luźno w małe sterty pod gęstym okapem drzew. Dobrze też jest nakryć wierzch tych stertek słomą, trzciną lub daszkiem z papy i desek względnie ustawić je pod daszkiem ruchomym tzw. brogiem. Układając snopeczki do przechowania na zimę, wskazanym jest przesypywanie poszczególnych warstw kuchenną lub bydlęcą solą, która pod wpływem wilgoci atmosferycznej się rozpuszcza i osadza cienką warstwą na liściach i gałązkach. Sól pobudza apetyt zwierzyny i działa dodatnio na rozwój poroża.

Tam gdzie na to pozwalają względu natury gospodarczoleśnej, można użyć do robienia liściarki gałęzie dębu uzyskane z trzebieży. Gałązki niezbyt grube ścina się i zrzuca pod cieniem drzew luźno na kupę, a to w tym celu, aby wiatr mógł przez nie przewiewać. Czekać trzeba dopóki liście nie zwiędną, co w zależności od temperatury następuje zazwyczaj po 2 do 3 dniach. Po zwiędnięciu liści rozkłada się gałęzie w cieniu, związuje wieczorem w pęczki i składa w gromady. W ten sposób sporządzoną liściarkę pozostawia się w lesie jeszcze przez 3 dni, po czym można ją zwieźć do stodoły lub innego schronienia.

Najlepszą jest liściarka z bzu koralowego, jednakże suszenie najmłodszych pędów jest bardzo uciążliwe i trwa z powodu soczystości liści i łodyg o wiele dłużej aniżeli u innych drzew. Najmłodsze niezdrewniałe pędy należy obciąć i pozostawić pod cieniem drzew tak długo, dopóki liście nie przeschną. Następnie rzuca się je luźno na małe kupki i pozostawia tak przez kilka dni, po czym związuje się je w luźne pęczki o średnicy 1 metra, ustawia we formie piramid pod okapem drzewa naokoło pnia i przestawia dla lepszego ich wysuszenia co 3 dni. Bez koralowy ma bardzo wielką siłę reprodukcyjną, szybko się odnawia i wyrasta z odrośli, tak że w połowie lipca na nowo można przygotować dalsze zapasy liściarki.

Należy się zastanowić, ile przygotować liściarki na zimę. Zależy to od liczebnego stanu zwierzyny łownej. Na czas od listopada do końca marca liczyć trzeba oprócz pasz treściwych i okopowych mniej więcej pół kilograma liściarki na jelenia dziennie a dla sarn połowę tej dawki.

Przez mikrofon. W dniu 19 maja 1938 r. o godz. 13 wygłosi na fali toruńskiej dr inż. Leon Ossowski pogadankę łowiecką na temat „Maj myśliwego-hodowcy".

O czym pisał 27 lat temu „Łowiec Wielkopolski", ilustrowany dwutygodnik — organ Tow. Łow. w Poznaniu pod redakcją Władysława Janta-Połczyńskiego.

Wiadomości Towarzystwa. Strzelanie konkursowe. Najtańszy sposób hodowli bażantów — Wł. Janta-Połczyński. Co ujemnie wpływa na zwierzostany w naszych lasach, nap. Komar. Głuszec. Próba zaaklimatyzowania reniferów. — To i owo ze świata zwierzęcego — mówiące psy. F. Oberländer. Hodowla soboli. — Raj dla zwierząt. — Futra. — Kłusownictwo. — Projekty Hagenbecka. — Puszcza Białowieska. — Humor. Wykaz ubitej zwierzyny w maj. hr. Kurnatowskiego w r. 1910/11. — Str. 16 — do tego 2 obrazy i kilka winiet.

Subskrypcja na grafiki myśliwskie. Wystawa Grafiki Myśliwskiej po sukcesach w Poznaniu przeniosła się do Bydgoszczy a później do Lwowa.

„Kurier Poznański" ogłosił w nr nr 129 i 137 dla swych czytelników subskrypcję na te grafiki. W Redakcji „Kuriera" nabywać można następujące prace, przeznaczone na subskrypcję:

Wiktoria Goryńska: „Głowa psa", drzeworyt — 14×19 cm — zł 8.

Maria Jeziorańska: „Martwa natura", drzeworyt — 14 × 23 cm — zł 8.

Jarosław Kirilenko: „Koziołek" akwaforta — 10½× 6 cm — zł 10.

Tadeusz Lipski: „Wiewiórka", litografia kolorowa — 15×15 cm — zł 10.

Stefan Mrożewski: „Św. Hubert", drzeworyt — 30× 25 cm — zł 12.

Ostoja-Chrostowski: „Wilki", drzeworyt — 7×14 cm — zł 10.

Władysław Roguski: „Św. Hubert", litografia ręcznie kolorowana — 41×34 cm — zł 10.

Marian Romala: „Macierzyństwo", drzeworyt — 7½× 10½ cm — zł 8.

Medard Świtek: „Daniele", litografia — 26½×32 cm — zł 8.

Krystyna Wróblewska: „Diana", drzeworyt — 16×8½ cm — zł 6.